

ZA KULISAMI

Łukasz Gazur

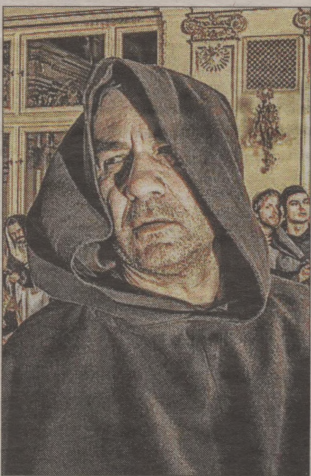
Zwietrzały Umberto Eco

O tym, że Radosław Rychcik przeżył „duchowy zwrot” w swoim życiu, nie tylko plotkowano w środowisku od jakiegoś czasu. Reżyser przyznał to przed premierą w Teatrze im. Słowackiego „Imienia róży”. Ale niestety spektakl oparty na najsłynniejszej książce Umberto Eco zamiast wielowymiarowej produkcji stał się deklamatorskim popisem.

Historia wizyty dwóch mnichów - Wilhelma z Baskerville (niezła kreacja Rafała Dziwisza) i Adso z Melku (Karol Kubasiewicz) - w słynnym opactwie przy okazji odbywającej się tu teologicznej debaty, mają zgłębić wątek tajemniczej śmierci jednego z zakonników. A rozwiązanie zagadki zdaje się tkwić gdzieś między księgami w zakonnej bibliotece...

Niestety, świat mnichów, który dla Umberto Eco stał się punktem wyjścia do wielowarstwowej opowieści na temat hierarchii, wiedzy, siły książki, ale i katolickiej etyki seksualnej oraz grzechów kościoła, w tym wypadku potraktowany jest dość umownie i bez głębszej analizy. Może jedynie dyskusja teologiczna na temat ubóstwa, zmieniająca się w zwykłą pyśkówkę dresiarzy przyodzia-nych w stroje kościelnych hierarchów, próbuje być jakimś głosem w dyskusji. Poza tym oczywiste wydają się tok zdarzeń i dykcja tego przedstawienia. Ogląda się je bez emocji. Szkoda, zwłaszcza w sytuacji, gdy jednym z głównych wątków jest tu miłość w rozmaitych swoich odcieniach.

Nie ma tu nic ze świata popskojarzeń Rychcika, które znamy choćby z jego „Dziadów”. Dziwi to o tyle, że „Imię róży”



„Imię róży” raczej bez emocji

dawało szerokie i ciekawe pole do interpretacji, zabawy konwencją teatralną, współczesnych nawiązań, wreszcie do włączenia się teatru w gorące dzisiejsze dyskusje. Zamiast tego dostaliśmy oczywiste odтворzenie książki, audiobook zagrany na scenie. Wyszło letnio i nudno. Dla kogoś, kto zna „Imię róży”, spektakl po prostu niczego nie wnosi.

Jakąś próbą pójścia w typowy dla rychcikowego teatru teren była chęć sięgnięcia - obok chorałowego śpiewu - nawiązanie muzyczne do filmów i seriali kryminalnych, które miały kreować aurę tajemnicy.

Niestety, niespecjalnie też trafia do mnie pomysł scenograficzny. Tandetne wyglądające kotary są kiczem w kiepskim wydaniu. I nie da się ich sprowadzić do twierdzenia, że wyrażają niewyszukane gusta polskiego kościoła. To nie jest krytyczny sznyt w stylu „złote, a skromne”, to jest po prostu kiepsko wykonane. Choć sam pomysł ruchomych kotar, skrywających i odsłaniających kolejne tajemnice opactwa i plany teatralne wydaje się bardzo ciekawy.

Szkoda, że po spektaklu Rychcika ma się wrażenie, że siła krytyczna książki Umberto Eco zwietrzała zupełnie. ©